Nr. 275.

Dodatek do „Gazety Narodowej“

z dnia 3. Października 1897.

Z Finlandyi na Ararat.

(Specyalne sprawozdanie dla *Gaz. Nar.*)

XXI.

Tyflis we wrześniu 1897.

Azya... prawdziwa Azya!... Wprawdzie obcy, który zwiedza muzea, świątynie i bazary, nie wiele z niej zobaczy, ale ten, kto nie żałuje trudu, kto się nie lęka niemiłej woni, i komu nie straszne dzikie postacie z całym arsenałem broni za pasem, ten może tu poznać życie wschodnie.

Wjazd do Tyflisu i pierwszy pobyt jest niesłychanie przykry. Być może, że mają słuszność ci, którzy chwalą klimat Tyflisu w zimie — ale w lecie, a nawet teraz w jesieni w drugiej połowie września jest nieznośnie, gdyż miasto robi wrażenie kotła, w którym człowiek smaży się na wolnym ogniu. Wprawdzie jesteśmy w górach, gdyż Tyflis leży na samej granicy pomiędzy Kaukazem a Antykaukazem, ale pożal się Boże, co to za góry! Z północnowschodniej i przeciwnej strony ciągną się żółto-szare grzbiety, na których nie ma i jednego drzewka i zdają się tylko na to służyć, ażeby odbijając promienie słoneczne przyczyniały się do gorąca kotła tyfliskiego. Wprawdzie jest tu i wielki górski strumień, pieniący się i szumiący, ale co to za strumień!... O kąpieli w nim nie ma i mowy, gdyż brudno żółta woda, w której jest spory procent namułu kaukaskiego, nie wabi bynajmniej ku sobie. Ale za to gorące źródła, od których Tyflis miał otrzymać swą słowiańską nazwę, ujęte w pyszne kąpiele, są wyborne. Mimo jednak gorąca i braku drzew spędzam tu trzy dni przeznaczone na wypoczynek i na nabranie sił do dalszej podróży wcale przyjemnie. Komitet wynajął cały okazały gmach klubu ormiańskiego i urządził tam koszary o 200 łóżkach, ja jednakowoż rezygnuję z łaski komitetu i biorę sobie ładny schludny salonik w hotelu „Dworcowyja nomiera“, gdzie mam z okien śliczny widok na cały plac erywański, na pustą górę z ruinami starożytnej twierdzy, na kupieckie hale i maurytański ratusz z czerwono żółtą wieżą.

Wstaję o 6 g. rano, a wypiwszy herbatę zaczynam swą wędrówkę po mieście od części europejskiej, która się koncentruje w Gołowińskim prospekcie i placu Erywańskim. Nie wiele tu pod względem architektonicznym do widzenia, teatr w stylu maurytańskim, sobór w stylu żydowskiej bóżnicy, pałac gubernatora, wreszcie kaukaskie muzeum.

To ostatnie jest rzeczywiście widzenia godne, a przedewszystkiem zbiory archeologiczne i etnograficzne dające obraz historyi kultury ludów Kaukazu. Dyrektor muzeum, znany uczony p. Radde poświęca się dla nas, gdyż całymi dniami służy za chętnego i wysoce inteligentnego przewodnika. Podobnie jak budynki tak i ruch na Gołowińskim prospekcie, jakkolwiek znaczny, nie przedstawia dla Europejczyka wiele zajmującego, trzeba dopiero udać się w boczne uliczki lub azyatycką część miasta, ażeby poznać wszystkie te narodowości zamieszkujące Tyflis. Jest ich nie mniej ni więcej tylko siedmdziesiąt, prawdziwa wieża Babel. I z liczby i z majątku pierwsze miejsce należy się Ormianom.

Ich klub (sobranie) posiada wspaniały gmach przy głównej ulicy, gdzie jest właśnie nasz obóz i wspaniały ogród za rzeką w Michajłowskiej ulicy, z olbrzymią halą, wodotryskami, kwiatami itd. Wczoraj korzystając z zaproszenia, udałem się tam na koncert i na tańce ormiańskie i byłem bardzo zadowolony z tego, co widziałem. Gdyby nie Gruzinki w swych strojach narodowych i nie dźwięki obcej mowy byłbym pewny, że jestem gdzieś na Pokuciu lub w Czerniowcach, wszakżeż to zupełnie nasi i nasze Kajcie, Grzesie, Rypsie — mimowolnie brała mię chętka zagadnąć którą z ładnych, czarnobrewek Ormianeczek po polsku, — lecz niestety one nawet po rosyjsku nie umieją!

Muzyka wojskowa kończy Lohengrina, w hali zbierają się tysiące ludzi, gdyż za chwilę rozpoczynają tańce — jakoż ormiańska kapela bierze się do dzieła.

Lecz czyż to podobne? Przypomniały mi się chwile pobytu w wigwamach Indyan amerykańskich — nie spodziewałem się, ażeby cywilizowani Ormianie Tyflisu stali pod względem muzyki na równi z dzikimi. Kilka bębenków i jakieś instrumenta przypominające kształtem mandolinę, ale o jednej strunie, wydają straszliwą, monotonną melodyę (jeżeli to melodyą nazwać można) przypominającą skrzeczenie konika, lub rechotanie żaby w błocie w pogodny dzień wiosenny.

Takt jest na sposób ruskiej „dribneńkojej“ — wzmacniany przez klaskanie w dłonie widzów. Występuje jakiś Kajcio ubrany po czerkiesku, bierze sobie ślicznego czarnookiego pachołka w stroju europejskim i rozpoczyna się taniec — mający podobnie jak kołomyjka za motyw uciekanie dziewczyny przed chłopcem — nareszcie poddanie się. Krok jest wcale ładny, drobniutki, pływający, trzymanie rąk i w ogóle ruchy bardzo wdzięczne.

Prawie tak samo liczni jak Ormianie, ale nie tak zamożni są Gruzini, — trzecie miejsce należy się Rosyanom (przeważnie oficerowie i urzędnicy), a potem dopiero przychodzą te liczne inne narodowości — stanowiące zbiór próbek ludów ziem kaukaskich i azyatyckich w ogóle.

Tuż za placem Erywańskim rozpoczynają się brudne uliczki, w które spieszymy na zakupno wschodnich wyrobów i zaczynamy od Ormian zajmujących się fabrykacyą broni i biżuteryi. Zwyczajem wschodnim podnosi się rano w takiej chałupce zasłona od ulicy — izdebka przemienia się w pracownię — a od frontu stoi oszklona szafa z gotowymi już wyrobami. Widzimy tu kindżały, jatagany, pistolety i strzelby, siodła, czapraki, wyroby srebrne, jak guzy, spinki, pasy itp. Ormianin zachwala jakiś pistolet skałkowy, wyłożony złotem i perłową macicą, — przysięga się na wszystkie świętości, że to starożytny czerkieski, — a tymczasem w oczach gościa pracuje z największą naiwnością, czy bezczelnością nad inną taką samą „starożytnością“. Przytem i okpiwanie obcego jest wprost bezczelne. Zdarza się często, że zażąda za jakiś przedmiot sto rubli, który potem da za dzięsięć itp.

W sąsiedniej uliczce rozsiedli się Persowie z dywanami, które są prześliczne i bardzo tanie. Dywan wschodni, który we Lwowie kosztuje 200 *zł*, można tu mieć za 50 rubli, te małe dywaniki, za które płacimy od 35 do 80 i więcej *zł*., są tu po 10 do 12 rubli.

Jeszcze dalej siedzą Tatarzy, handlujący z zamiłowaniem drogimi kamieniami, a przeważnie turkusami — a oprócz tego biżuteryą. Lecz któż wyliczy tych wszystkich kupców, te wszystkie budy i stragany, przy których wre życie jak w ulu!...

Tu i owdzie całe ulice założone mięsiwem i owocami — od much i innych owadów świata nie widać, — dalej cała część zajęta przez sklepy i stragany zasypane płótnami, jedwabiami i chustami wyłącznie kaukaskiemi, gdyż w dziwny sposób wschodnie, a mianowicie perskie i indyjskie tkaniny nie znajdują tu odbiorców.

Od tego ruchu i zgiełku chronimy się do pięknego botanicznego ogrodu w pobliżu, nieco wyżej z ruin starożytnej twierdzy mamy wspaniały widok na olbrzymy Kaukazu, — między którymi żegnamy po raz ostatni Kazbeka.

Ale właściwe życie rozpoczyna się na azyatyckiej stronie dopiero wieczorem. Uzbrojeni w kindżał lub rewolwer zapuszczamy się w ten labirynt uliczek, na których słońca nie widać wcale, gdyż balkony z obu stron od frontu zasłaniają całą drogę. Tutaj gotują i pieką na ulicy mięsiwo i soczyste patłażeny (Rosyanie nazywają to bałtażeny), tutaj graja i spiewają przed domami, tutaj Gruzinki, Imerytynki, Tatarki i licho wie, co za inne mniej lub więcej ładne dziewczęta w przejrzystych i niedostatecznych kostyumach zwracają uwagę przechodnia. Pierwszeństw wmojem zdaniem należy się Imerytynkom, są to śliczne, czarnowłose — ale o jasnej cerze istotki, o delikatnych pociągłych policzkach, a przytem o nadzwyczajnej elegancyi ruchów, postawy, tak, że w każdej dziewczynie z ludu możnaby się domyślać jakiejś latorośli z upadłego książęcego rodu.

Jako tło do tego życia nocnego służą stoki gór Tyflisu, które wieczorem wyglądają prześlicznie. Tysiączne światła w domkach wznoszących się terasami jeden nad drugim tworzą jakgdyby drugie niebo rywalizujące z tym południowym przestworem świetlnym, z gwiazdami mrugającemi i uśmiechającemi się do życia tej biednej jednostki zwanej człowiekiem — o której Prometeusz przykuty tam w dali do Kazbeka powiada:

Hir sitze ich und forme Menschen nach [meinem Bilde,
Ein Geschlecht, das mir gleich sei
Zu weinen und zu leiden,
Zu freuen sich und zu geniessen
Und Dein nicht zu achten
Wie ich!...

Dr. Emil Habdank Dunikowski.

Kroniczka warszawska.

(Prasa prowincyonalna. — Nowości literackie. — Z teatrów).

Do pięciu pism prowincyonalnych istniejących w królewstwie „(Tydzień w Piotrkowie“, „Gazeta Kaliska“, „Gazeta Kielecka“, „Gazeta Lubelska“ i „Gazata Radomska“), przybywa szóste o dziwnym trochę tytule: „Rozwój Łodzi“. Nareszcie więc Łódź doczeka się swojego organu, jakiego nie posiadała od czasu zamknięcia tamtejszego „Dziennika“.

Brak pisma w Łodzi, liczącej przeszło 300.000 mieszkańców, był wprost czemś anormalnem. Pomijając już wzgląd, że na tę liczbę imponującą składają się w znacznej części sfery robotnicze, to jeszcze pozostanie taki procent inteligencyi, że nie jedno, ale kilka pism powinnoby mieć tam byt zapewniony. Byt ten znajduje też „Lodzer Zeitung“, rozchodząca się podobno w 14,000 egzemplarzy, znajduje go także „Lodzer Tageblatt“, redagowany — *risum teneatis* — w duchu na wskróś niemieckim przez Polaka, Krakowianina; powodzeniem cieszy się „Zwiastun ewangelicki“ pastora Angersteina, pismo ziejące nienawiścią do wszystkidgo, co katolickie, ale pisma polskiego nie było przez lat kilka. Smutnieby się stało, gdyby p. Wiktor Czajewski, który otrzymał już koncesyą, nie postawił swojego „Rozwoju“ na stopie pierwszorzędnej, na organ bowiem łódzki czeka nie tylko Łódź sama, ale z nią i Warszawa i kraj cały. Mam też nadzieję, znając tego cichego, skromnego, a obywatelskim duchem przesiąkniętego literata, że godnie odpowie zadaniu, jeżeli oczywiście posiadać będzie odpowiednie siły i środki.

Łódź — to posterunek niezmiernie doniosłego znaczenia, zwłaszcza teraz, kiedy zarówno w tym tak zw. polskim Manchestrze, jak i w sąsiednim Zgierzu pewien odłam naleciałości obcych, zaufany w poparcie, płynące z Niemiec, coraz butniej podnosi głowę, zdradzając aspiracye teutońskie, wprost wrogie żywiołowi tubylczemu. Zadanie wdzięczne, stać na straży interesów kraju w takiem gnieździe os i szerszeni, ale i bardzo trudne. Dla literatów jednak i dziennikarzy pole dotąd było niewdzięczne, panu Czajewskiemu przyjdzie też dopiero tworzyć i kształcić zastęp współpracowników, a to rzecz wcale nie łatwa, jak nie łatwe będzie także utworzenie projektowanych w Łodzi „Bibliotek bezpłatnych“. Radom, dzięki inicyatywie literata i aktora p. Karola Hoffmana, posiada tego rodzaju biblioteki; fakta zaś mówią, że działalność ich nader dodatnio, umoralniająco wpłynęła na szerokie masy ludności tego miasta. W Łodzi, gdzie robotnicy albo nie szukają żadnego pokarmu duchowego, albo też żywią się senzacyjnemi utworami w gatunku słynnej „Barbary Ubryk“, czytelnie takie bezpłatne oddaćby mogły niespożyte zasługi. Kto jednak da inicyatywę? Napróżno się rozglądam po dobrze znajomymi z Łodzi. Człowiek wielkiej energii, śp. Władysław Wisbek, w grobie, p. Stefan Kossuth, któremu to miasto przez długi czas tak dużo zawdzięczało, przeniósł się do Galicyi, a inni — ci inni, którzy z różowemi nadziejami szli do polskiego Manchesteru i gotowiby byli „ruszyć z posad bryłę świata“, tak pochłonięci zostali przez „business“, tak ich te tryby fabryczne wzięły w obroty, że poprzestają na żywocie robaka w serze. Niechajże poruszy ich p. Czajewski swoim „Rozwojem“.

Na długie zimowe wieczory, będące już za pasem, księgarnie nakładowe przygotowują plon obfity, oczywiście przeważnie powieściowy. Na pierwszy ogień, jak zwykle, idą pióra kobiece, które z zdumiewającą cierpliwością dobijają się miejsca w literaturze.

Cierpliwością taką, godną zaiste lepszej sprawy, odznacza się szczególnie pani Wanda Grot-Bęczkowska. Świeżo w księgarni Dubowskiego i Gajewskiego opuściła prasę jej powieść, mająca być niejako odpowiedzią czy uzupełnieniem słynnej rozprawy księdza biskupa Niedziałkowskiego pt.: „Nie tędy droga, szanowne panie!“ Pani Bęczkowska powieści swej dała tytuł: „Tędy droga“, jaka szkoda jednak, że nie powiedziała tutaj absolutnie nic nowego. Najnowszy ten utwór paradnej pisarki nie przysporzył dorobku; rozmowy banalne, całość staroświecko-ckliwa, z odcieniem prawdziwie niemieckiego sentymentu i to wszystko rozwałkowane na 448 stronicach. Uf! biedny jesteś recenzencie, któremu przychodzi z obowiązku zawodowego wertować takie poważne opus. Długość księgi p. Bęczkowskiej sprawiła, że nie mogłem się dotąd rozejrzeć dokładnie w wiązce nowości, przysłanych mi przez starą, znaną a wytrawną firmę Gebethnera i Wolffa. Jest zaś w czem się rozpatrywać, księgarnia ta bowiem zwykła być hojną, więc i tym razem nadesłała kilka cennych prac różnych autorów.

Oprócz trzytomowego dzieła p Ferdynanda Hösicka o Juliuszu Słowackim, którego przeważna część drukowaną już była w fejletonach pism warszawskich i galicyjskich, oprócz „Studyów historyczno-krytycznych“ Szymona Askary'ego, mamy tu jeszcze powieść Artura Gruszeckiego z życia górników pt.: „Krety“, Sirki „W matni“ i rzecz aktualną Studniewskiego pt: „Syberya współczesna“. Dla ludzi, których nęcą wyprawy po „złote runo“, Syberya nie przestaje być magnesem przyciągającym, dobrze więc zrobił autor tej ostatniej książki, że dał nam ze znajomością rzeczy skreślony, pełny obraz życia i warunków ekonomicznych tego zimnego kraju. Teraz, kiedy dzięki kolei Syberya coraz więcej zbliżać się zaczyna do świata kultury europejskiej, książkę tę uważam za bardzo na czasie.

Inne księgarnie, z wyjątkiem naturalnie Teodora Paprockiego, która ciągle wypuszcza w świat nowe książki, dotychczas trzymają się w rezerwie, chociaż słyszałem, że przygotowuje się kilka bardzo interesujących wydawnictw, utrzymywanych w tajemnicy. Ogromną konkurencyę księgarniom wydawniczym, jak sądzę, wytworzy zreorganizowane pismo zeszytowe, które z „Romansu i powieści“ przekształci się na „Bibliotekę rozmaitości“. Na nasze stosunki ma to być wydawnictwo bajecznie tanie, co tydzień bowiem opuszczać ma prasę tom dziesięcioarkuszowy, stanowiący skończoną całość, a zawierający powieści oryginalne i tłumaczone, szkice historyczne, studya itd. Rocznie zatem prenumerator otrzymywać będzie 52 tomy, czyli 520 arkuszy druku i to wszystko za cenę 10 rubli. Jeżeli wydawcy wypełnią wszystkie przyrzeczenia, a wątpić o tem nie można ze względu choćby na osobę kierownika p. Klemensa Junoszy Szaniawskiego, to istotnie dojdziemy prawie do szczytu taniości wydawniczej.

Ruszyła się także stara firma S. Orgelbranda Synów, która zapowiada nową „Encyklopedyę ilustrowaną“, mającą być ukończoną w ciągu lat czterech. Czy nie za dużo encyklopedyi naraz? Powiadają, że „od przybytku głowa nie zaboli“, niewątpliwie jest to prawdą, co nie przeszkadza jednak wcale, że może zaboleć — kieszeń.

Chociaż daleko jeszcze do Nowego Roku, na półkach ukazywać się już poczynają kalendarze, na początek przeważnie humorystyczne, mamy więc już wesołego „Faceta“, w ślad za tym pierwowzorem dowcipu idą przeróżne „Żydy“, „Mazury“ i tympodobne efemerydy. Dla humorystyki grunt byłby w Warszawie podatny, gdyby dział ten obrabiany był przez zdolniejsze ręce i głowy, w ostatnich wszakże czasach nie przybyła żadna nowa siła wybitniejsza, z dawnych zaś wielu się przeżyło lub żyje okruchami dawnego humoru.

Jeżeli na polu piśmienniczem ruch się już zimowy zaczyna, to natomiast w dziedzinie teatru głucho i pusto. Rządowe teatry nie zapowiadają nic nowego, z ogródków poznikały towarzystwa aktorskie i cisza zaległa zupełna tę niwę. Wprawdzie wyjątkowo dozwolono trupie p. Dobrzańskiego popasać trochę dłużej, bo do 1 października ale ten gra jedynie Zapolskiej „Małkę Szwarzenkopf“. Co do tej sztuki, która dyrektorowi p. Dobrzańskiemu napędziła sporo grosza do kieszeni, to zdaje się, że stanie się ona kością niezgody pomiędzy autorką, panią Gabryelą Zapolską a panem Dobrzańskim. Pani Zapolska głośno w pismach protestuje przeciwko wyzyskowi, którego jakoby padła ofiarą, otrzymawszy honoraryum zbyt małe w stosunku do wartości sztuki. Jakkolwiek sympatya każdego piszącego musi być po stronie autorki, to jednak śmiem wątpić, czy otwarty jej protest doprowadzi do pożądanego rezultatu. Prawnie p. Dobrzański jest w porządku, czy bowiem gra „Małkę“ w „Eldorado“, czy w „Bagateli“ lub „Wodewilu“, zawsze opiera się na mocy kontraktu, w którym pani Zapolska sprzedała sztukę na sezon letni za umówioną sumę.

Mniejsza o to, że honoraryum (coś około 400 rubli) jest po prostu śmieszne wtedy, gdy dyrektorowi przysporzyła sztuka dziesiątki tysięcy — literze prawa stać się musi zadość. W każdym razie przykład pani Zapolskiej powinien posłużyć za naukę dla pisarzy dramatycznych, jak obwarowywać się należy, gdy przychodzi mieć do czynienia z dobrą wolą aferzysty-aktora. Zresztą pani Zapolska ani pierwszą jest, ani ostatnią, która padła ofiarą. „Pan Damazy“ dał fundament do kamienicy dyrektora Doroszyńskiego, a na wdowę po ś. p. Blizińskim robić musiano dobroczynne wydanie ostatniego utworu. Galasiewicz, autor „Czartowskiej ławy“ i „Chaty za wsią“ jest, pomimo swego kalectwa, kasyerem w teatrze, a dyrektor, który tę sztukę wystawiał, stał się właścicielem hotelu i ogromnej restauracyi. Przykładów takich znalazłoby się mnóstwo, a jednak stara to śpiewka i zawsze się ona będzie powtarzała.

Wyścigi.

Kraków d. 2 października.

Wczoraj w pierwszym dniu wyścigów esiennych, galic. Klubu jazdy panów, udział publiczności był mały.

W biegu I. gładkim (Maiden) o nagrodę 1000 koron pierwszy przybył „Mischna“ rotmistrza Alb. Jekeya, drugi „Gambler“, hr. Fryd. Chorinsky'ego, trzeci „Isegrim“ por. Fr. Heintschla.

W biegu II., sprzedażnym z płotami, o nagrodę 1000 koron, zwyciężył „Tanczos“, nadp. hr. Fr. Schönborna (jeźdz. por. Fibich), drugi przybył „Blinkhoolie“ bar. H. Eltza (właśc.), trzeci „Steady“ Józefa Mildnera.

W biegu III, steeple chase o nagrodę rządową 2.500 koron zwyciężyła klacz Ostoji Ostaszewskiego „Licho“. Druga przybyła „Sapristi“ hr. Schoenborna.

W biegu IV z płotami zwyciężyła znowu „Wiosna“ Kaz. Ostaszewskiego. Drugi przybył „Helf Gott“ rotm. Brzozowskiego.

W biegu V, oficerskim steeple-chase nagrodę honorową wzięła „Ossi“ hr. Fr. Schoenborna. Drugi przybył „Halifax“, trzeci „Justinus“ por. Eltz.

ROZMAITOSCI.

OO. Zmartwychwstańscy we Wiedniu. Misya polskich zakonników w milionowem mieście, to przecież sprawa doniosłego znaczenia, która dumą i radością powinna napełnić każdego Polaka. Dzięki wspaniałomyślności cesarza otrzymało Zgromadzenie OO. Zmartwychwstańców, kościół św. Krzyża na Landstrasse (Rennweg) i przytykający do kościoła dom w darze, pod warunkiem, że kościół i ubikacye zostaną odrestaurowane, bo tylko wtedy mogą służyć do użytku publicznego. Kościół ten, w przystępnem i okazałem miejscu obok słynnego belwederu, jest wartości kilkudziesięciu tysięcy. Staranie około jego utrzymania powinno być nie wyłącznym interesem zakonu lecz sprawą całego narodu, dbałego o swoją sławę i stanowisko, jak to słusznie gorliwy superjor ks. Lutrzykowski w swej odezwie wspomina. Nietylko Koło polskie ale i znakomite osobistości stanu duchownego i świeckiego przez 5 lat robiły starania, by sprawę kościoła polskiego w Wiedniu pomyślnie załatwić. Dzięki tym staraniom, zgromadzenie OO. Zmartwychwstańców kościół ten otrzymało. Byłoby więc istotnie grzechem i lekkomyślną niegorliwością, gdyby Polacy, rozproszeni po wszystkich kresach dozwolili upaść tym dobrym zamiarom OO. Zmartwychwstańców, i nie poparli tak doniosłej sprawy. Restauracya kościoła i odstąpienie ubikacyj dla zakonników, którzy się tak zrośli z ostatnią historyą naszego narodu, będzie wymagać kilkunastu tysięcy. Złożono dotąd kilka tysięcy przeważnie z Galicyi. Potrzeba jeszcze wiele ofiarności. Nie należy wątpić, że datki liczniej popłyną na ręce ks. superiora Franciszka Lutrzykowskiego w Wiedniu, (Rennweg 5 a), który po odbiorze każdego datku, ofiarodawcę z podzięką uwiadomi i w swym czasie rachunki publiczności poda.

Rola bicykla w wojnie. Francuski kapitan Girard podał pierwszy projekt zaprowadzenia bicyklu w armii i zorganizował oddział cyklistów, który takie oddał usługi podczas ostatnich manewrów, że istnieje zupełnie poważny projekt zużytkowania bicyklu do celów wojskowych. Cykliści, według specyalistów, mogą potrójną służbę pełnić na wojnie. Przedewszystkiem, choć mylnie mniemali niektórzy, że mogą oni zastąpić zupełnie kawaleryę i pełnić służbę rekonesansową, ale jest w tem mniemaniu tyle prawdy, że w straży przedniej idąc, ogromnie ułatwią zadanie konnym podjazdom. W tym celu oddziały kołowe powinny być złożone z co najlepszych strzelców: szybkość ruchów pozwoli im towarzyszyć wszędzie kawaleryi, trzymając straż koło niej, a strzelaniem utrzymywać na przyzwoitej odległości przeważające nawet siły konnicy nieprzyjacielskiej. Cykliści też mogą prześladować i z nienacka napadać transporty nieprzyjacielskie; na odwrót, zadaniem ich byłoby bronie swoich, krążąc naokoło i zawiadamiając o ruchach nieprzyjaciół. Wreszcie, rozstawieni cykliści mogą z większym pożytkiem być używani do rozwożenia rozkazów i wiadomości, niż konni kurjerzy. Te dwie ostatnie funkcye mogą być powierzane cyklistom rezerwy i pospolitego ruszenia, których nie zabraknie, bo Francya posiada już dzisiaj 300.000 osób, uprawiających sport kołowy.

Kraj jedynaków. Od lat już wielu — jak wiadomo — mówią i piszą o zmniejszaniu się ludności we Francyi. Podano i zastosowano wiele już środków celem zapobieżenia temu, ale mimo to liczba małżeństw i chrzcin coraz niższą cyfrę wykazuje. Stwierdzono, że we Francyi przypada na 1000 ludzi zaledwie 22 narodzin rocznie, podczas gdy w innych państwach liczba ich wynosi 38—40. Niemcy np. liczą teraz na rok 1,900.000 nowonarodzonych a 450 000 obowiązanych do stawiania się do wojska, podczas gdy we Francyi liczba nowonarodzonych nie przewyższa 900.000 a obowiązanych do wojska 300.000. W czternastu ostatnich latach przybyło Niemcom dwa razy więcej zdolnych do broni, niż Francyi. Przed stu laty liczyły państwa europejskie 98 milionów ludzi, a z tego przypadało na Francyę 26 milionów, a więc 27%, — dzisiaj liczy Europa 300 milionów mieszkańców a w tem 38 milionów Francuzów czyli 12%. Niegdyś był język francuski najbardziej rozpowszechniony.

Dzisiaj używa tego języka 45 miljonów ludzi, a 60 miljonów mówi po niemiecku, 120 miljonów zaś posługuje się językiem angielskim. We Francyi mamy 1,848.000 rodzin bezdzietnych, 2,640.000 rodzin obdarzonych jednem dzieckiem, 2,364.000 dwojgiem dzieci, a 1,580.000 rodzin posiadających troje dzieci. Te ostatnie więc familie przyczyniają się jedynie do naturalnego zwiększania ludności, podczas gdy 6,812.000 rodzin, wskutek nieznacznej ilości dzieci, przyczynia się jedynie do zmniejszania się tejże.

Fakt ten wzbudził obawę we Francuzach. Zaczęto się więc rozglądać za środkami zapobiegającymi zmniejszaniu się ludności. Jeden projekt żądał ulżenia podatkowego dla rodziców obarczonych dziećmi. Środka tego spróbowano przy familiach, mających 7 dzieci. Rodzin takich naliczono we Francyi 167.000, z których 17.000 było bardzo zamożnych, a więc takich, którym podatki nic nie szkodziły, 100.000 zaś dalszych nie płaciło zupełnie żadnych podatków, o ułatwienia więc nie rozchodziło się im. Przytem jednak skonstatowano, że właśnie zamożniejsze rodziny (stan średni), najmniej mają dzieci. Ludzie zaś ubożsi, którzy chcą także żyć dobrze albo zbić majątek, starają się mieć jak najmniej dzieci. Francya — jak widać z powyższego — to prawdziwa ojczyzna jedynaków. Przedtem mawiały francuskie rodziny szlacheckie, że mają syna najstarszego z rodu, dzisiaj mawiają wieśniacy francuscy: my mamy jedynaka.

To umniejszanie się liczby małżeństw i chrzcin rozpoczęło się na początku bieżącego stulecia i odtąd potęgowało się coraz bardziej, aż nareszcie w ostatnich latach doszło do punktu kulminacyjnego. Początek więc swój datuje ono od wprowadzenia „Code civil“ a wzmagało się w miarę tego, im bardziej i głębiej kodeks się rozpowszechniał czyli, mówiąc inaczej, im bardziej zasady jego wchodziły w krew ludu. Fakt ten poświadczają wszyscy przenikliwi i kompetentni badacze. Nawet taki dr. Bertillon, najbardziej rewolucyjnym duchem ożywiony statystyk francuski, powiada wyraźnie, że Code civil, skutkiem wymuszonych działów dziedzictw, wpłynął najbardziej na wyludnianie się kraju. Kodeks ten nawet niezbyt był chętnym małżeństwom; miał on bowiem na oku zawsze i jedynie jednostki. Przytem wpłynął on także i na zdemoralizowanie małżeństw.

Megalomania, zbytnie rozumienie o sobie zaczyna najwidoczniej przenosić się już w Niemczech od wodzów do żołnierzy, od warstw wyższych do pospolitego i szarego tłumu, ogarnia jednem słowem cały naród. Nauczyciel z Kurnika w Poznańskiem, Prusak, wysłał do Banffiego i burmistrza peszteńskiego telegram z podziękowaniem za gorące przyjęcie cesarza niemieckiego. Zapewnił Węgrów, że znaleźli łaskę w jego oczach.

Falb zapowiada na pierwszą połowę października obfite deszcze, od 18—25 pogodę, a potem do końca miesiąca znowu deszcz; temperatura ma być w całym miesiącu niezwykle wysoką; 25-ty października jest dniem krytycznym drugiego rzędu.